Nr. 4. We Lwowie dnia 28. stycznia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Wyodrębnienie Galicji.

III.

Walka narodowościowa w Austrji.

Walka narodowościowa w Austrji jest stałem zjawiskiem w tem państwie. Walka narodowościowa wstrząsnęła gmachem starego absolutyzmu austrjackiego w r. 1848 i 1849 i wywołała reakcję. Walka zewnętrzna 1859 r., jaką musiała stoczyć Austrja, wywołała konstytucję 1861 r. Ta jednak połowiczna konstytucja nie mogła ani rozwinąć się, ani ustalić, gdyż od jej początku Węgrzy nie obsyłali parlamentu, w 1863 r. Czesi też przestają posyłać swą delegację do parlamentu wiedeńskiego. Następuje zawieszenie konstytucji na mocy §. 13. (dzisiejszego §. 14.) aż do 1867 r., kiedy Austrja po porażkach zewnętrznych zmuszoną była dać konstytucję, opartą na szerszych podstawach i wyodrębnić Węgry. Tu wznawia się opozycja Czech, rezolucja Galicji, częściowe uznanie wyodrębnienia Czech i cofnięcie danych przyrzeczeń.

Czyż to był okres, w którymby Austrja była wolną od walki narodowościowej w ciągu ostatnich lat 30-tu?

Powiadają, że demokratyzacja ustroju politycznego Austrji, zwiększenie udziału ludu w prawodawstwie osłabi walki narodowościowe w Austrji, wysuwając walki klasowe, walki o reformy społeczne. Ale widzimy, że parlament, posiadający piątą kurję powszechnego prawa wyborczego, był areną najgorętszych walk narodowościowych. Widzimy, że partje ludowe, które jeszcze 1897 r. zachowywały się względnie obojętnie wobec walk narodowych, n. p. antysemici wiedeńscy coraz bardziej przesiąkają szowinizmem niemieckim. Gdy partja liberalna niemiecka żądała postawienia Thuna w stan oskarżenia za nadużycie §. 14., niemiecka partja ludowa żądała tego oskarżenia i za rozporządzenia językowe dla Czech.

Walki klasowe nie zastępują walk narodowościowych, ale tylko kojarzą się z niemi i nadają im pewne zabarwienia, czasami je potęgując, czasami neutralizując je nieco.

Podczas reakcyjnego ministerstwa hr. Badeniego, wiedeńskie pisma socjalistyczne: „Arbeiter-Zeitung“, „Volksstimme“ i in. nazywały nie inaczej ten rząd, jak „polnische Regierung“, chcąc spotęgować nienawiść względem reakcyjnego rządu nienawiścią narodowościową względem obco-plemieńców. Oddziaływało to bezwarunkowo ujemnie na klasową świadomość proletarjatu, ale osiągało najbliższe cele. Rozszerzane mniemanie, że rządy badeniowskie są polskie, ujemnie oddziaływało na rozwój opozycyjnego kierunku u nas, a więc na interesy demokracji.

Na ostatnim kongresie austrjackiej socjalnej demokracji w Bernie czuć się dawał tamowany, lecz silny antagonizm między czeskimi a niemieckimi socjalnymi demokratami. Socjalna demokracja Austrji chwali się jednak, że wynalazła cudowny środek przeciwko walkom narodowościowym w Austrji. Środkiem tym ma być autonomja ludów, zamiast autonomji krajów. Pierwsze ma być postępowem, drugie reakcyjnem, feudalnem.

Współpracownik londyńskiego „Przedświtu“, p. Veto w broszurze: „Wyodrębnienie Galicji a kwestja narodowościowa“ twierdzi wprost, że „autonomja ludów jestto zamaskowana wyrazem autonomji centralizacja państwowa, niezdolna do rozwiązania kwestji narodowościowej. Centralistyczne dążności leżą w interesie proletarjatu niemieckiej Austrji, przewaga wiedeńskich socjalnych demokratów nagina interesy nieniemieckich narodów Austrji do dążeń wiedeńskiej socjalnej demokracji (str. 17). W rzeczy samej należy uznać, że wyrażenie autonomja ludów jest tak nieokreślonem, że pod nie różną treść można postawić.

Mówią o ustawie narodowościowej, która by zniosła wszelką walkę narodowościową. Lecz stosunek sił określa prawo: „jeżeli więc przyznanoby prawa, nie odpowiadające w znacznej mierze stosunkowi sił różnych narodowości, to ani trochę nie zmniejszyłaby się walka. Przy idealnej odpowiedniości prawa do dziś istniejącego stosunku sił, wszelka zmiana w tym stosunku wywołałaby znowu walkę. Wobec różnorodności stosunków narodowościowych w różnych prowincjach Austrji, różnicach w liczebności, bogactwie i kulturalno-cywilizacyjnem wyrobieniu różnych narodów Austrji, ogólne prawo narodowościowe, wypracowane przez parlament Austrji, byłoby z natury rzeczy szablonowem, nieodpowiadającem warunkom i potrzebom żadnego z krajów koronnych. Rozwiązanie kwestji narodowościowej w Austrji musi być dziełem krajów koronnych. Jestto rzecz oczywista, wszak gdzie mniej czynników wchodzi, tam łatwiejsze rozwiązanie kwestji" — pisał wyżej cytowany publicysta*).

Czasem powiadają, że autonomja ludów w Austrji będzie rozwiązaną przez podział tego państwa na drobne okręgi narodowościowe, zamiast dzisiejszych krajów koronnych.

Lecz dla znaczniejszego samorządu potrzebnymj est pewien rozmiar terytorjum i pewna ilość zaludnienia. Kantony szwajcarskie pozbywają się coraz to więcej praw na korzyść centralizmu, gdyż są zbyt małe, żeby należycie wypełniać ważniejsze gospodarcze i kulturalne zadania. Wytworzenie kilku okręgów, zamiast jednego kraju, posiadającego już pewną autonomję w Austrji, zwiększyłoby centralizm państwowy i powstrzymaćby mogło ekonomiczne życie prowincji. Mówi się o wytworzeniu okręgów narodowościowych, zamiast terytorjalnych. Nie zapoznając ważnego znaczenia spraw narodowościowych, twierdzić musimy, że organy samorządu i zarządu posiadają cały szereg ważnych zadań nienarodowościowej natury, zadań ekonomicznych, urzeczywistniać się mających na pewnem terytorjum. Otóż fakt ten nie zezwoli przenosić punktu ciężkości na organizacje nieterytorjalne.

Życie nie da się układać podług jednej jakiejś zasady, — nie można przeobrazić Austrji ani na zasadzie autonomji krajów koronnych, ani na zasadzie autonomji narodowości. Rozwiązanie kwestji wymaga pewnego kompromisu obu tych zasad.

Nie łatwo da się usunąć ostre formy walk narodowościowych w Austrji. Walka ta wysuwa na porządek dzienny kwestję wyodrębnienia Galicji. Wyodrębniona Galicja dla stworzenia *modus vivendi* między Polakami a Rusinami będzie musiała zająć się kwestją współżycia dwóch narodów w jednym kraju, kwestją nie trudniejszą, niż współżycia siedmiu narodowości austrjackich w jednem państwie.

Dotychczas nigdy centralizacja nie rozwiązywała kwestji narodowościowych. Przez rozwój samorządu, Szwajcarja nie znała walk narodowościowych, ale i tam przed obawą ucisku narodowościowego, kantony nie niemieckiej Szwajcarji głosują zawsze przeciwko wszystkim centralizacyjnym reformom. Dla wytworzenia *modus vivendi* między Polakami a Rusinami, wypadnie dążyć do jaknajszerszego samorządu lokalnego po wyodrębnieniu Galicji.

Antagonizm polsko-ruski w dzisiejszej Galicji, to jeden z czynników, wiodących do centralizacji, przeciwdziałający zmianie obecnego stosunku Galicji do Austrji, stosunku wycieńczającego ekonomicznie Galicję.

Jeżeli dziś, jak i dawniej żywioł rusiński ciążył w Galicji albo do Wiednia, albo do Moskwy, to w razie podziału Galicji na wschodnią i zachodnią, proponowanego przez partje ruskie, czynnikiem ciążącym ku Wiedniowi, szukającym tam opieki, byłby żywioł polski we wschodniej Galicji, przezco korzystałby centralizm i prowincje przemysłowe Austrji, wyzyskujące ekonomicznie Galicję.

Nie sądzimy, żeby partje ruskie skłoniły się w krótkim czasie do wyodrębnienia Galicji. Ale pamiętajmy, że pomimo ich woli to może nastąpić, jak nastąpiła pewna autonomja Galicji w 1861 i 1867 r.

W 1861 r. rozpowszechniały się wieści, że z autonomją nastąpi powrót pańszczyzny. Marszałek sejmowy musiał oświadczać w sejmie, że pańszczyzna już nie wróci, by zwalczać te pogłoski. Pomimo rozsiewanych wieści, początki autonomji nie wywołały rozruchów. Przypuszczenie więc, żeby wyodrębnienie Galicji wywołało rozruchy, wydaje się bezzasadnem.

Nie przed obawą rozruchów, ale w imię rozwoju politycznego kraju należy propagować i wyjaśniać szerokie korzyści wyodrębnienia Galicji, korzyści, które winne spłynąć na jej ludność, bez różnicy na jej język i wyznanie.

Wład. Studnicki

*) „Wyodrębnienie Galicji a kwestja narodowościowa" str. 13.

Z niewydanych poezyj Władysława Syrokomli

Wiersz na rozwiązanie Towarzystwa rolniczego. (Mazur z 1861 r.)

Nas zebranych wielu razem
Car widzieć nie życzy;
Więc rozwiązał swym ukazem
Legjon rolniczy.

Przypominasz swoje długi,
Rycerski człowiecze,
Że żelazne nasze pługi
Czas przekuć na miecze.

Wszak młocarnie i żniwiarki
Bezczynnie nie zgniją;
Żąć i młócić wrogów karki
Jest agronomiją!

Gospodarka trzypolowa
Wrogom się podoba —
Łan Poznania, łan Krakowa
Wzięli Niemcy oba.

Moskwa wzięła resztki łanu,
Polski, Litwy, Rusi;
Więc reforma płodozmianu
Kłuć ich w oczy musi!

Miecz i lemiesz w swoją kolej
Wyborne narzędzie!
Łan zasiewaj, krwią go polej,
A pszenica będzie.

Gdy trzy łany wyrwiesz dziczy,
Gdy się kąkol wytnie,
Nasz odwieczny dom rolniczy
Znowu nam zakwitnie!

I nagrodę nam poświęci
W pomoc rolnicczyzny:
Kto najlepszy stryk ukręci
Na zdrajców Ojczyzny!

37)

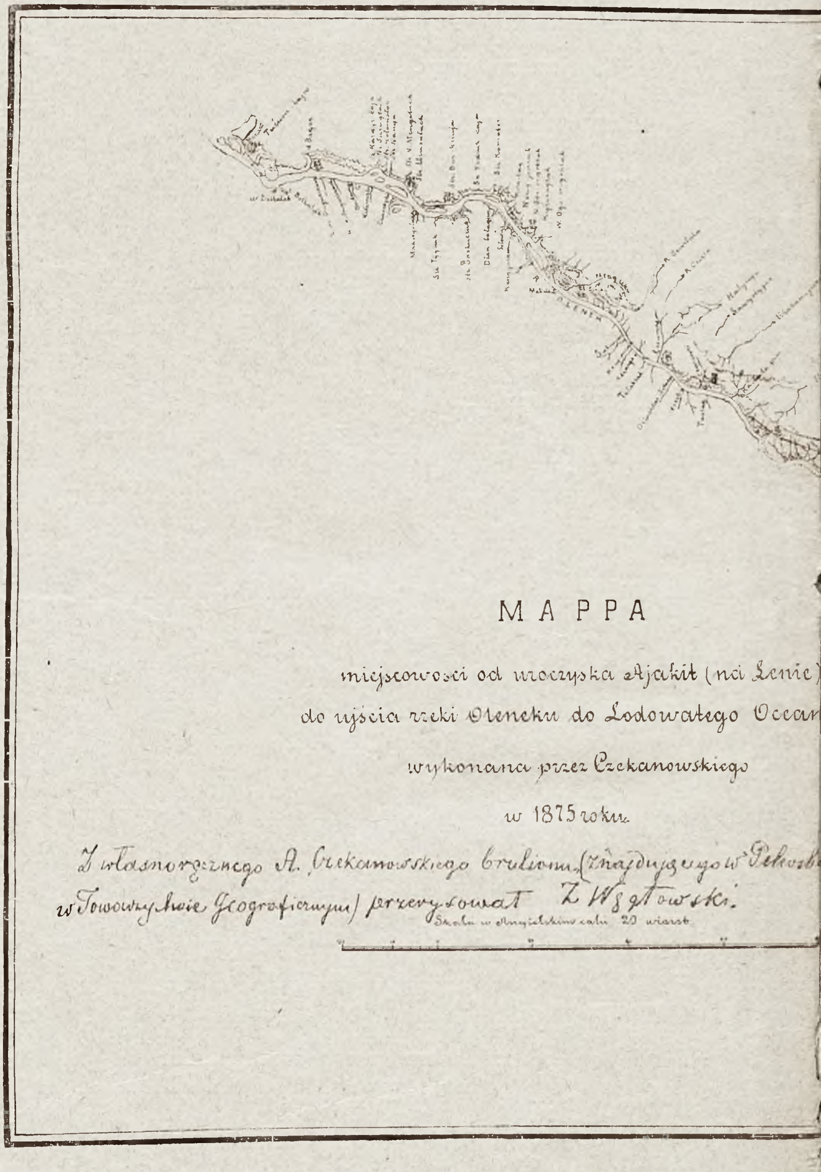
O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Wyjeżdżając z Bułania rozporządziliśmy się w ten sposób, że obóz ze zbiorami, składający się z 30 nart, szedł zawsze przed nami o 12 godzin wcześniej, tak że gdyśmy przybywali do jurty na nocleg, on wtedy wyruszał w drogę dalszą, dążąc do następnego miejsca noclegowego; mieliśmy więc zawsze schronisko już ogrzane, a w niem przygotowane drzewo na opał przez naszych przewodników, dozorujących obozu. Każdy z nas jechał na osobnych nartach, ciągnionych przez dwa renifery, uwiązane do sanek jednego z przewodników Jakutów, stąd też kierować reniferami nie mieliśmy potrzeby. Pierwszy nocleg za Leną wypadł w schronisku Ebeteń u stóp dosyć wyniosłych gór, zwanych Charaułach, stanowiących dział wodny pomiędzy dopływami rzek: Leny i Jany. Do 23-go października chłody nie dokuczały nam zbytecznie, dopiero od 23-go zimno wzmagać się zaczęło; dnia rzeczonego przy temperaturze 24° R. obserwowaliśmy zjawisko Fatamorgana, występujące w tych szerokościach zwykle o wschodzie słońca. Wywoływane ono bywa zazwyczaj skutkiem pewnego rodzaju mgły, wznoszącej się nad powierzchnią śnieżną, po cichej nocy bezwietrznej. Minąwszy niewysokie góry, zwane Kutar, stanęliśmy dnia 27 października w mieście powiatowem Wierchojańsku, położonem nad rzeką Janą. Miasto całe składało się wówczas z kilku domów drewnianych i kilku jurt jakuckich; w domach mieścili się przedstawiciele władz cywilnych i duchownych: naczelnik powiatu („Isprawnik“), dziekan („Błohoczynny“) i dwóch popów; obok nich we własnym domku mieszkał kupiec, Jakut, Nikita Gorochow, u którego znaleźliśmy przyjęcie gościnne. Kupiec rzeczony był to człowiek światły, dosyć oczytany, patrjota jakucki, miłujący gorąco swój kraj rodzinny, posiadał biblioteczkę, złożoną przeważnie z dzieł popularnych, traktujących o naukach przyrodniczych, zajmował się meteorologją, urządził u siebie małe obserwatorjum, prowadził starannie dziennik spostrzeżeń już od lat kilku, spisywał przytem podania, gawędy, baśnie etc. ludu jakuckiego i opracowania swoje, dotyczące

tych przedmiotów przesyłał do Towarzystwa geograficznego w Irkucku. Chęć do czytania i do prac literackich, i wogóle wykształcenie całe zawdzięczał głównie wygnańcom Polakom, z którymi służył w biurach towarzystw prywatnych, poszukujących złota w kopalniach na Alokmie i Witimie; o byłych towarzyszach i nauczycielach swoich zachował pamięć wdzięczną i życzliwą. Nam dopomógł przy organizacji nowego obozu dla dalszego transportu zbiorów, jemu zawdzięczamy także wiele wskazówek praktycznych, dotyczących podróży zimowych, a nadto nauczył on nas sposobu karmienia się rybą surową, mrożoną, a spożywaną w formie potrawy, zwanej „Struganiną“ *). Pożywienie, sporządzone z ryby surowej, w warunkach, przy jakich odbywać musieliśmy podróż dalszą, okazało się doskonałem i niczem zgoła nie dającem się zastąpić w drodze. Szczególnie ważne miało ono znaczenie ze względu na to, że służy jako środek przeciwko cierpieniom szkorbutowym i że nawet przy spożywaniu codziennem nie budzi odrazy, jaką się czuje po pewnem czasie do potraw, sporządzanych z ryby gotowanej.

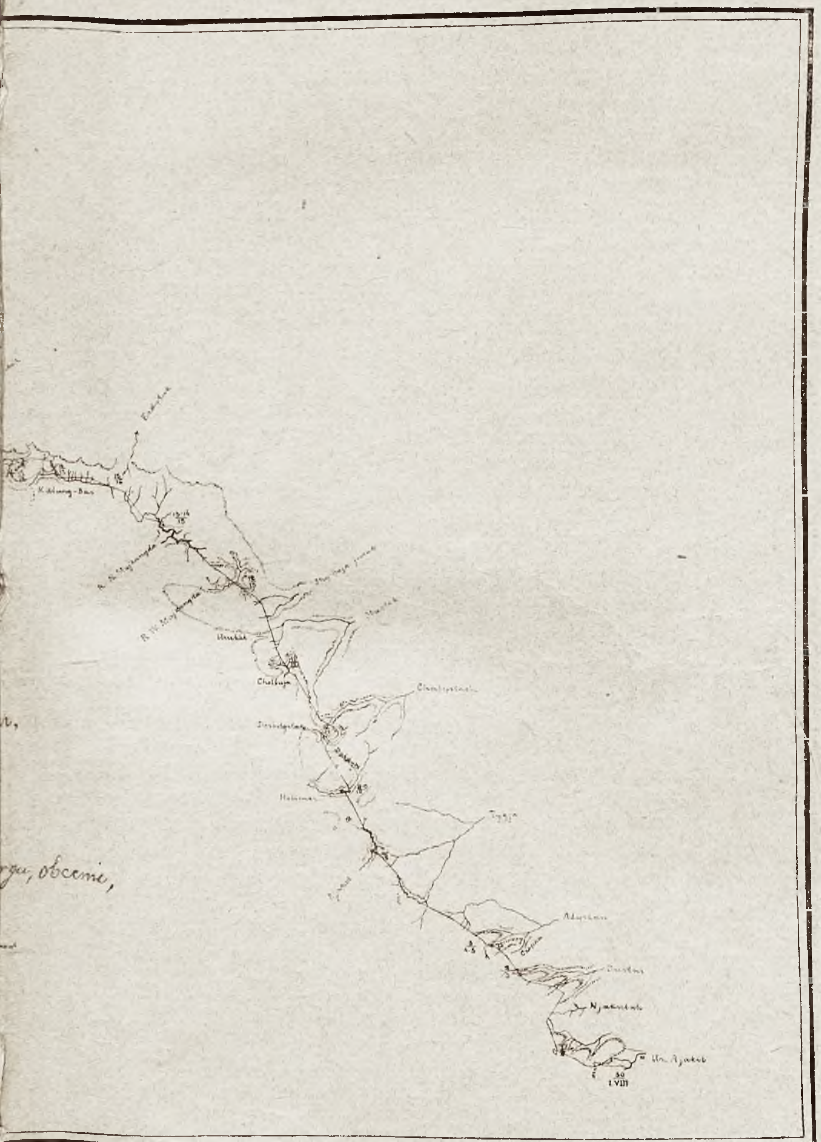
Pierwszego listopada słońce weszło o godzinie 12 i zaszło o godzinie 3-ej po południu. Termometry nasze i Gorochowa wskazywały temperaturę powietrza, wynoszącą 41° R. Tego dnia wieczorem wyjechaliśmy z Wierchojańska, rozpoczynając drogę do Jakucka, która trwa przy zwykłych warunkach 30 dni, mieliśmy więc przed sobą cały miesiąc męczarni nielada, bo do cierpień i udręczeń, doświadczanych już podczas wędrówki uprzedniej, przyłączyły się teraz nowe, powodowane mrozami, dochodzącymi stale do —40 i —44° R., przyczem zauważyliśmy, że siły nasze fizyczne słabły widocznie. Zdrowie Czekanowskiego zaczęło się pogarszać i wraz z tem wystąpiły symptomaty znieczulenia i chwilowej apatji, a jednocześnie senność jakaś nienaturalna napadała go bardzo często. Ta ostatnia okoliczność budziła obawy, albowiem znaną jest rzeczą, że sen przy temperaturze —40° R. bywa najczęściej rodzicem śmierci. Tak n. p. zginął Steller, zasnąwszy w drodze i tak zmarło wielu innych podróżników. Czekanowski walczył, jak mógł, z chorobą, pokonywał ją siłą woli i na szczęście wyszedł zwycięzko z tej ciężkiej próby, która nam wiele niepokojów sprawiła.



Droga nasza od Wierchojanska wiodła wzdłuż doliny rzeki Jany, wznosząc się wraz z nią samą coraz wyżej i wyżej ku podnóżom

*) Potrawa zwana „Struganiną“ robi się w ten sposób, że rybę zamrożoną do twardości, jaką może wytworzyć mróz czterdziesto stopniowy, „struże“ się przy pomocy bardzo ostrych nożów (wyrabianych przez Jakutów ze stali jakuckiej) na cieniutkie wiórki, mające wygląd możebnie najdelikatniejszej heblowiny drzewnej, spiralnie skręconej. Takie arcydelikatne wiory z ryby żpożywają się jak lody, ale w stanie zupełnego zamrosenia, bo są tem lepsze, im są zimniejsze. Struganina sporządza się przeważnie z ryb jesiotrowatych, a szczególnie ze sterletu. W braku jesiotrów jednak robią struganinę i z ryb łososiowatych. Zwykle jadają potrawę rzeczoną bez żadnych dodatków, niektórzy wszakże spożywają ją z przyprawami rozmaitemi. Specjał ten jakucki, tak nam przypadł do smaku, że odtąd w ciągu prawie dwóch miesięcy, stanowił główne pożywienie nasze.

gór, skąd rzeka bierze swój początek; jadąc tedy wciąż pod górę przez cały prawie tydzień dotarliśmy do szczytu gór pasma Wierchojanskiego, gdzie się znajdowało podówczas schronisko, zwane Keń-Jurah. Z tego miejsca spuszczać się trzeba było po wielce stromym zjeździe



wprost na dolinę rzeki Tukałach, wpadającej do Ałdanu, jednego z większych dopływów Leny.

W chwili, gdyśmy przybyli do schroniska, wyjeżdżała stamtąd karawana kupiecka, jadąca na północ przez Wierchojansk do Kołymy; składała się ona z kilkudziesieciu jucznych koni i kilkunastu ludzi, jadących wierzchem. Wieźli oni towary, zakupione podczas jarmarku w Jakucku, na jarmarki północne. Właścicielem towarów był kupiec z Kołymy, odbywający corocznie takie podróże w ciągu lat 11. Jechał on teraz wraz z żoną swoją konno przy temperaturze — 42 ° R. Witaliśmy, a zarazem żegnaliśmy tych ludzi, zahartowanych na mrozach północnych, życzeniem najszczerszem — podróży szczęśliwej, a goniąc okiem za odjeżdżającymi, myślą sięgaliśmy do źródeł wszelkich heroicznych czynności ludzkich — źródłem tem była, jest i będzie miłość.

W schronisku zastaliśmy naszych ludzi, zajętych przygotowaniem do przeprawy zbiorów, oraz całego bagażu, nart i reniferów przez zjazd karkołomny na dolinę. Spuszczanie całego obozu po dnie niezmiernie stromego i krętego wąwozu, zawalonego odłamami skał, było niezmiernie trudnem. Wywiązali się z niego Jakuci w sposób następujący: łączyli oni każde cztery narty w jednę całość, mającą kształt tratwy, z tyłu nart uwiązywali mocno renifery pociągowe, następnie czterech ludzi siadało po bokach tratwy, trzymając nogi zwrócone na zewnątrz. Gdy tratwa była gotowa i naładowana, spychano ją w przepaść. Byłaby ona tam niezawodnie zgruchotaną została, gdyby nie żywy i ruchomy hamulec, utworzony z 8-miu reniferów, uwiązanych z tyłu nart. Te biedne, krzepkie w nogach i rozumne zwierzęta przysiadłszy na tyle i opierając się z całej siły nogami przedniemi, powstrzymywały rozpęd szalony, pędzącej na dół tratwy i w ten sposób dawały możność, siedzącym na niej Jakutom, do sterowania nogami i nadawania saniom żądanego kierunku po zakrętach wąwozu. Żadne inne zwierzę wykonać takich czynności nie byłoby w stanie. Po spuszczeniu pierwszych 4 nart, zeszliśmy pieszo na dolinę ścieżką boczną, po której wstępowała dnia uprzedniego karawana kupiecka. Zejście, nawet przy stąpaniu po śladach końskich, w głębokim śniegu wydeptanych, było bardzo-trudne, z racji niezmiernie stromej spadzistości powierzchni góry. Zeszedłszy na doliną przypatrywaliśmy się następnie procesowi oryginalnej przeprawy tratw przez wąwoz.

Dzień był jasny, niebo pogodne bez żadnej chmurki, blade, jak zwykle niebo zimy polarnej. Słońce bez ciepła, stojące nizko na horyzoncie rzucało skośne promienie, złocąc góry i lasy, odziane w puchy śnieżne, prawdziwie dziewiczej białości, jaką się widzi tylko na północy. W powietrzu martwem, nieruchomem, co zawsze ma miejsce przy temperaturze po-

niżej —40 ° R., pływały i lśniły się w słońcu tysiącem iskier brylantowych kryształy szronu, padające na powierzchnię drzew i na śnieżną powłokę gór. W wąwozie, kędy spuszczano tratwy nartowe, śnieg sypki, suchy i lekki, jak pył najdelikatniejszy, wzruszony nogami hamujących reniferów i sterujących Jakutów, wzbijał się kłębami do góry i tworzył obłok śnieżny po nad nimi. Po tym obłoku unoszącym się w powietrzu, oświetlonym promieniami słońca, poznawaliśmy kierunek i rozpęd lecących na dół nart, a tylko na zakrętach tu i owdzie w wąwozie wynurzała się na chwilę z obłoku dziwaczna grupa, złożona z Jakutów i reniferów, ażeby natychmiast utonąć w nowej chmurze świetlanej mgły śnieżnej.

Przeprawa trwała kilka godzin, tak że zdołaliśmy dnia tego ujechać zaledwie wiorst kilkanaście drogi i zanocowaliśmy w uroczysku Syś-Anna, położonem na brzegu rzeki Tukałach. Stąd jechaliśmy dalej brzegiem rzeki aż do jej ujścia samego do Ałdanu: tutaj w schronisku Dżeli zastaliśmy już stałych mieszkańców i dopiero w tem miejscu pożegnaliśmy uprząż reniferową. Do nart przymocowano „hołoble“, wprzężone po jednym koniu, którego dosiadał Jakut, pełniący rolę woźnicy. W osadzie Dżeli po raz pierwszy na tej drodze widzieliśmy pola maleńkie, na których uprawiają jęczmień, a w jurcie Jakuta narzędzia rolnicze i młynek ręczny do mielenia zboża. Placki jęczmienne „podpłomyki“ i kasza z krup stanowiły ucztę prawdziwie królewską. W ciągu dwóch tygodni następnych jechaliśmy brzegami Ałdanu i Leny, a pierwszego grudnia przybyliśmy do Jakucka.

Z radością szczerą witaliśmy gród stołeczny Jakutów, bo tutaj mieliśmy nadzieję urządzenia dogodniejszego jazdy dalszej, a zarazem mogliśmy już teraz powierzyć skarby nasze, czyli zbiory, z takim trudem nagromadzone, opiece poczty państwowej i w ten sposób umniejszyć koszta podróży i pozbyć się kłopotu, nieodłącznego od transportowania przy sobie tak znacznych kollekcji.

Upakowanie ostateczne zbiorów dla oddania ich na pocztę, kupno i urządzenie dużych, ciepłych sani podróżnych zajęło nam pięć dni czasu, tak że z Jakucka wyjechać mogliśmy dopiero 6-go grudnia. Po 15 dniach ciągłej jazdy we dnie i w nocy, bez wypoczynków noclegowych na stacjach, stanęliśmy w Irkucku 21. grudnia.

Tu był koniec podróży, trwającej przeszło 7 miesięcy. Długość drogi odbytej w ciągu niniejszej wyprawy wynosi około 12.000 wiorst. Co do rezultatów naukowych, to je streszczam poniżej według sprawozdania Czekanowskiego. I tak:

1. W zakresie badań geograficzno-geologicznych opracowane zostały dwie mapy, jedna dotycząca drogi od Jakucka do Ajakitu i Bułania, druga od Ajakitu ukośnie przez tundrę na dolinę Oleneka i wzdłuż tej doliny do oceanu lodowatego, czyli Bus-Bajkału, jak go nazywają Jakuci *). Jednocześnie ze szczegółami geograficznemi zebrano w czasie podróży dostateczną ilość danych geologicznych, dla możności sporządzenia map odpowiednich.

2. W zakresie kollekcji paleontologicznych, botanicznych i zoologicznych, zebrano 1.500 okazów skamielin, 3.000 okazów roślin i 7.000 cwadów **).

Wkrótce po przyjeździe do Irkucka uzyskał Czekanowski zezwolenie na powrót do Europy i już w początku stycznia r. 1876 wyjechał do Petersburga w celu uzyskania środków potrzebnych do nowej ekspedycji na doliny rzek Chatangi, Anabaru i Pjasyny. Tę podróż mieliśmy zamiar odbywać wspólnie. Atoli w stolicy nie znalazł Aleksander należytego poparcia dla projektów swoich. Wojna turecka pochłaniała naonczas wszystkie fundusze.

W czerwcu r. 1876 odebrałem list od Czekanowskiego, w którym lakonicznie donosi mi o stanie swoich interesów, pisząc co następuje: „Co do wyprawy, to, niestety, pozostała mi tylko słaba nadzieja, zresztą ostateczna decyzja nastąpić może dopiero w jesieni. O sobie mało mam do powiedzenia. Dano mi zajęcie przy muzeum mineralogicznem Akademji. Powoli rozpatruję się w materjałach i zaczynam opracowywać nasze zbiory. Kollekcje sprzedałem Akademji za 1.300 r. s. Jeżeli do tej sumy dołączę 400 r. s. należne mi w Irkucku, to będę w stanie uiścić się z długu, zaciągniętego na naszą podróż ostatnią“. W drugim liście, pisanym z Petersburga w miesiącu sierpniu, oświadcza stanowczo, że „zamierzona podróż nie dojdzie już do skutku“. Odtąd nie miałem już żadnych wiadomości od niego.

Aleksander straciwszy ostatnie nadzieje urzeczywistnienia swoich marzeń jedynych, swych pragnień gorących, pędził życie samotne w Petersburgu bez wszelkich środków pieniężnych, bo nawet grosz swój ostatni, zaoszczędzony ze sprzedaży dawniejszych zbiorów, musiał oddać teraz na zapłacenie długu, zaciągniętego na wyprawę. Wśród warunków ciężkich egzystencji ówczesnej, nie mając nikogo w swojem otoczeniu, z kimby go łączyć mogły uczucia przyjaźni serdecznej, ciepłej, rodzimej, wychodzącej po za zwykłe granice koleżeństwa naukowego — tęsknił między obcymi, martwił się, obojętniał do życia, aż przyszła chwila

*) Jakuci nazywają każde morze „Bajkałem“. Ocean północny nosi u nich nazwę „Bus Bajkał“. Ocean wschodni „Iti Bajkał“.

**) W życiorysie Czekanowskiego podane zostały inne liczby, niż powyżej wskazane. Ilości tam wymienione odnoszą się do zbiorów Czekanowskiego, pochodzących z trzech ekspedycji razem wziętych, a nie tylko tej ostatniej na Olenek.

rozpaczy i nastąpił zgon przedwczesny. Zgon ten napełnił smutkiem niewypowiedzianym i boleścią głęboką serca licznych jego przyjaciół, którzy go czcili, wielbili, kochali.

Jako dodatek do niniejszego, krótkiego sprawozdania o ostatniej podróży Czekanowskiego na północ, umieszczam tu mapkę drogi, odbytej przez tundrę i wzdłuż po dolinie Oleneka. Mapka ta, przedstawiona tutaj w rozmiarach zmniejszonych, nie była jeszcze dotąd wydana

We śnie

...Wróciłaś! Jesteś!... Więc to nieprawda! Więc to nieprawda!... Nie umarłaś!...

Całuję włosy twoje, twarz twoją, jesteś przy mnie, jesteś żywa, czuję cię, jesteś, jesteś!

Mój Boże! Jak się ojciec ucieszy! On tak płakał po tobie... wiesz, on jeszcze teraz zamyka się codziennie w swoim pokoju i płacze, jak dziecko. Powiedzieli mu, że umarłaś... ale kto powiedział? Kto?... nie pamiętam. . Przecież ty umarłaś? Nie! nie! To nieprawda. Żyjesz, jesteś przy mnie!..

Dlaczego nie przychodziłaś do nas? Gdzie byłaś tak długo?

Ojciec myśli jeszcze, że umarłaś. Ach, jak on się ucieszy! jak on się ucieszy! On łamał tak ręce na twoim pogrzebie... nie mogli oderwać go od twojej trumny. W nocy biegał na twoją mogiłkę... A teraz ty żyjesz... żyjesz! Mój Boże! mój Boże! Jakież to szczęście będzie w domu! I wszystko, wszystko będzie, jak dawniej... Poczekaj, pójdę po ojca, powiem mu, że jesteś, że to było wszystko kłamstwo... Ale ojciec poszedł gdzieś, nie wraca... Co on powie, jak ciebie tu zastanie... Boże mój, co on powie?!...

Ach, jak mi serce bije! jaka jestem szczęśliwa! Weźmiesz mnie na kolana, jak dawniej, siostrzyczko moja! Ust twoich dotknięcie czuję na czole... Janko moja! Janiu!

Weź Wandkę swoją, weź, ona ci się oplecie ramionami dokoła szyi... Jej z początku tak strasznie tęskno było po tobie... wieczorami tak długo, długo płakała...

Śniło mi się... tak, prawda — raz śniło mi się, że przyszłaś... to był tylko sen... obudziłam się zaraz — i tak boleśnie, tak strasznie boleśnie płakałam...

Ale teraz to nie sen, to prawda! Dotykam się włosów twoich, jasnych, długich... takie same masz włosy, jak dawniej; rękę twoją trzymam... ty żyjesz, żyjesz!

Tak mi teraz dobrze z tobą, tak jasno, twarz całą zalewają mi łzy, ale to dobre... to błogie łzy; tysiąc razy lepiej mi przy tobie, niż wtedy, gdy w teatrze największe biją mi oklaski!

Ale prawda! Przecież ty nie wiesz o niczem, Janiu, ty nie wiesz, że ja jestem wielką artystką: twoja mała Wandka ma wielki talent -- powiadają. Dziwisz się — to prawda, prawda, Janiu!

Ach, bo tyle rzeczy zmieniło się przez ten czas; teraz jest lepiej, o wiele lepiej, Janiu!

Już nie mieszkamy za miastem, w tym małym domu, na poddaszu. Nie, nie! Już nie jesteśmy tak biedni, jak wtedy. Mamy zawsze na obiad, mamy porządne mieszkanie. Pamiętasz, jak jadłyśmy kwaszone ogórki na obiad. i kwaszone ogórki na wieczerzę — i śmiałyśmy się i rozmawiały wesoło, żeby ojciec nie poznał, że jesteśmy głodne. Moja ty kochana, moja jedyna! ty zawsze oddawałaś nam wszystko, a sama największy cierpiałaś niedostatek. Najodważniejszą byłaś z nas. Pamiętam twoje smutne, twoje kochane oczy...

A teraz... ojciec dostał posadę, ja także zarabiam, dużo zarabiam. Jak ty byłabyś się cieszyła, gdybyś wiedziała o tem wszystkiem! Gdy odjeżdżałaś od nas, ściskałaś mnie tak szalenie, tak nerwowo, a byłaś blada, strasznie blada... i to było ostatni raz. Potem przyszedł list, że umarłaś...

Ale to nieprawda... nieprawda! Żyjesz, Janko!

Ach, żebyś wiedziała, jak ojciec teraz zadowolony, spokojny! Już rąk nie łamie, nie robi sobie wyrzutów, nie kłopocze się, nie martwi się, smutno mu tylko bez ciebie i bez Stefka.

Ach, ty pewno nie wiesz i tego, że Stefek zwarjował... Czemu tak jęknęłaś? Janiu moja, Janiu! czemu odsuwasz się odemnie? Wróć, o wróć!

Widzisz, on wziął pieniądze z kasy — wtedy, na pogrzeb twój było potrzeba — miał nadzieję, że stryj Witold nam pożyczy potem, ale stryj nie chciał. Stefka mieli już aresztować... on był taki słabowity, taki nerwowy, ty wiesz... Teraz jest w szpitalu, nie szaleje, nie, tylko siedzi cicho z głową spuszczoną, i nie mówi nic, nie poznaje ani mnie, ani ojca... O, Janko, jak mi smutno!... Ale to wszystko dlatego, że ciebie nie było z nami. Teraz się wszystko zmieni i będziemy, jak dawniej, szczęśliwi, i będziemy wszyscy razem, jak dawniej. On będzie może zdrów... a może i o nim to nieprawda — pewno nieprawda... pewno to śniło mi się tylko...

Wrócą się dawne czasy, wróci się wszystko, wszystko.

Tylko ja już chyba z teatru wystąpić nie mogę. Ach, żebyś ty wiedziała, jak ja gram, jak lubię grać, jakie mam powodzenie! Wczoraj dostałam tyle wieńców, tyle kwiatów i od niego kwiaty, same róże białe, cudne...

Prawda! ty nie wiesz od kogo, nie znasz go. On ma takie oczy, jak ty... i za to go kocham; i patrzy na mnie tak, jak ty patrzałaś.. Ale ty nie myśl, że on będzie mój mąż. Nie, nie! On dobry, szlachetny, prawy, a twoja Wandka już nie taka, jak była, już nie dziecko twoje, czyste, białe... Janiu, Janiu! gdzież ty mi się podziałaś, niema cię... O, nie rzucaj mnie, siostrzyczko, matuchno, nie rzucaj! Jesteś znowu... O, nie patrz tak smutno... oczy twoje głębokie, bezdenne... Janiu! Janiu... U nóg twoich leżę i płaczę...

Tybyś się gniewała, tybyś mi nie dała... Ale widzisz, nie można inaczej... nie byłabym grała... Czy myślisz, że ja go kochałam?! Wstrętny był, stary, okropny! On twoje dziecko, jak kwiatek zmiął... i Wanda już uwiędłym kwiatkiem... A on, mój kochanek, on daje mi duszę swoją, on daje mi miłość świeżą, jak wiosnę... i on, on nigdy moim nie będzie. On nie wie o tem, i ojciec nie wie, ojciec mi wierzy. Janiu, ty nie powiesz ojcu, nie powiesz nic, nic... On umarłby ze zgryzoty. Ale tobie powiem, że gdyby nie ten pan — ojciec nie miałby posady, a ja nie byłabym w teatrze...

Tak strasznie bledniesz, bardziej, niż wtedy, gdyśmy się żegnały ostatni raz... Jesteś tak blada, że cię prawie nie widzę... Janiu, Janiu!... Ach, jesteś znowu... a ja tak strasznie już płakałam. Zdawało mi się, że cię tracę znowu i na zawsze... Usiądź tu, głowę położę ci na kolanach, jak dawniej bywało... Siedzę cicho, dokoła łąka zielona, ptaszki śpiewają, dzień taki ładny, pogodny, jasny, jak to wtedy na wsi, za życia mamy, pamiętasz?! Słoneczko ciepłe, jak wtedy. Zbierałyśmy kwiaty po łąkach, robiłaś bukiety, bo pan Henryk miał przyjechać... Pamiętasz pana Henryka?

Ty pewno nie wiesz nawet, że on się ożenił. Ach, z jaką piękną, strojną panną, a jak bogatą! Już teraz nie przychodzi do nas nigdy. Mieszka w wielkim, wspaniałym pałacu; sami bogaci hrabiowie, książęta bywają u niego... A żebyś wiedziała, Janko, jak on się zmienił. Już teraz nie myśli o tych rzeczach, o których to mówiliście nieraz całemi wieczorami. Nieraz wyprawiałaś małą Wandkę spać, żeby wam nie przeszkadzała. Powiedziałaś mu kiedyś, że zapala się do wielkich słów, on odrzekły że nie do wielkich słów, ale do wielkich czynów, i potem długo, długo całował twoje ręce. Przez uchylone drzwi widziałam wszystko.

Dziś śmieje się z szalonego snu młodości, szydzi z mrzonek dawnych, gra na giełdzie — mówią o nim, że jest bardzo rozumnym, bardzo zdolnym człowiekiem...

Znów pobladłaś, Janko! Janko!

Czemu tak dziwnie patrzysz na mnie... tak obco... jakbyś ty nie była moja... moja!... Taka dziwna jesteś, taka wyniosła jakaś i przejrzysta — jak widmo... boję się ciebie... Janko! Janko!...

Już niema jej przy mnie — idzie polem białem, cichem, idzie coraz dalej w powietrze mgliste, smutne... dokoła niej przesuwają się takie same postaci, jak ona. Bez szelestu idą jacyś ludzie, jakieś cienie ludzi i zwierząt dążą w tę samą, co i ona, stronę, i giną w białej mgle...

Janko, Janko! weź mnie z sobą! Ja nie chcę już żyć!..

Odwróciła się moja jedyna; przywołałam ją krzykiem serdecznym, z niezmiernej przywołałam dali... Znaki mi daje, żegna mię i znowu idzie, znowu idzie tam, w te sine, ciche mgły...

Skrzypiec słychać przenikliwy, oddalony płacz... Już ginie, ginie we mgle...

Helena Ceysinger.

Z pism i książek.

— *Andrew Lang. Mitologja.* (Wierzenia pierwotne). Z encyklopedji brytańskiej przełożył A. L. Kraków. Nakładem Bronisława Natansona 1889.

Znany uczony Max Müller w dziełach „Szkice wybrane“ oraz „Lekcje o języku“ starał się wykazać, że historja pierwotna ludzi da się wytłumaczyć przy pomocy filologji, w następstwie zaś tego uważał mity za wynik źle zrozumianych zdań i końcówek rodzajowych wyrazów.

Zbliżony do tej teorji system uzasadniał Spencer w swych „Zasadach socjologji“ — przez co ten ostatni oraz Max Müller stali się filarami szkoły filologicznej w badaniach mitologicznych.

Wręcz odmiennie zapatruje się na tę sprawę autor omawianego dziełka.

Andrew Lang, jeden z najświetniejszych pisarzy angielskich, autor dzieła „Mity, kulty i religje“, którego streszczeniem jest właśnie rozpatrywana „Mitologja“, oparł swą teorję na antropologji, uzasadniając, że pierwiastek niedorzeczny, zawarty w mitach jakiegokolwiek narodu, stanowią tak zwane przeżytki tego okresu umysłowości ludzkiej, w którym fakta dla nas potworne i niezrozumiałe bywały przyjmowane, jako zjawiska całkiem naturalne. Że tak było, wykazuje autor na rozlicznych przykładach, czerpanych zarówno z mitologji dzikich, jak i z mitologji egipskiej, indyjskiej, greckiej i skandynawskiej.

Tłumacz tego dziełka dołączył do tego rozdział o mitologji słowiańskiej, opracowany na podstawie dzieła Hanusza Machala „*Nakres Slóvanského bajeslovi*“ — przez co dziełko Andrewa Langa, doniosłej wartości naukowej, uczynił dla nas tem cenniejszem.

Adam Stodor.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.